

Achilles i Hektor



Achilles i Hektor

Zdzisław Najder

Najstarsze w naszym kręgu kulturowym przykłady zachowań, które gotowi jesteśmy nazywać „rycerskimi”, znajdujemy w klasycznej literaturze greckiej. Przede wszystkim w *Iliadzie* Homera (VIII w. przed Chrystusem), ale również w pismach

historyków i filozofów, zwłaszcza Arystotelesa (nauczyciela Aleksandra Wielkiego). W *Iliadzie* na planie pierwszym widzimy dwóch herosów: Greka Achillesa i Trojańczyka Hektora.

Przed Achillosem stanął wybór: czy życie długie, spokojne, pełne zwyczajnych przyjemności – czy krótkie, wypełnione wielkimi czynami i uwieńczone sławą. Obozujący pod obleganą Troją bohater mówi:

Nie ma stąd dla mnie powrotu – lecz sławę wieczną uzyskam.

Jeśli do domu powrócę, do mojej ziemi kochanej,

Sławy nie zyskam, lecz w zamian życie szczęśliwe i długie

Los mi przeznaczy.

Podjęta przez Achillesa decyzja walki pod murami Troi stała się na zawsze symbolem pragnienia wielkości i chwały. Wybór Achillesa jest krokiem ku śmierci, a jednocześnie okazaniem jej pogardy.

Pierwsze słowa *Iliady* zapowiadają opowieść o „gniewie” Achillesa. Król Sparty Agamemnon, wódz oblegających Troję Greków, odebrał Achillesowi brankę Bryzeidę, przyznaną mu w

uznaniu jego wspaniałych czynów. Achilles przyjmuje to nie tylko jako osobistą zniewagę, ale jako zaprzeczenie etycznego ładu. Duma, którą się unosi, nie jest wyrazem pychy, ale obroną zasad. Jest to „słuszna duma”, ważny ideał antycznej Grecji. Półboskie pochodzenie Achillesa, siła, piękno, odwaga, sama ochotnicza obecność pod Troją i poniesione zasługi – wszystko to razem czyni go w pełni godnym okazywania mu czci. Gdyby się czci nie domagał, okazałby tym samym, że na nią nie zasługuje; więcej – że nie dba o zasady zdobywania czci i jej potwierdzania. Nagroda jest jak stopień generalski; kto ją odbiera – chce zdegradować zasłużonego. W końcu Agamemnon musi przyznać Achillesowi słusność.

Hektor, syn króla Troi Priama, jest w poemacie postacią bardziej jednoznaczną niż liczni greccy bohaterowie. Nie jest najeźdźcą, walczy w obronie ojczystego miasta. Oto przykład wspaniałej bezstronności Homera, który jest przecież „Achajem”, czyli Grekiem. Hektor wie, że rzucający mu wyzwanie Achilles jest nie do pokonania. Wie, co to strach: ogarnięty lękiem, ucieka przed Achillesem wokół murów miasta. Ale ma też świadomość, że czynna obrona jest jego moralnym obowiązkiem. Bohatersko staje do walki i ginie, pierwszy wzór wszystkich obrońców spraw przegranych.

Obaj herosi znają wróżby, opisujące ich przyszłość. I powiedziano im, że o ludzkich losach ostatecznie decydują

bogowie. Ale jednocześnie zachowują się tak, jak gdyby wszystko, co robią, zależało od ich własnej woli. Mają świadomość swobody wyboru. Homer pisze o nich tak, jak gdyby znał dziewiętnastowieczne wywody deterministów, zaprzeczających istnieniu wolnej woli: wszystko w ręku bogów. Ale zarazem pokazuje swoich bohaterów jako ludzi w pełni odpowiedzialnych za własne czyny.

Oto istota greckiego widzenia świata, tragicznego i heroicznego zarazem: wiemy, że wszystkich nas nieuchronnie czeka śmierć – ale własnemu życiu, póki trwa, sami możemy nadawać sens. Przynajmniej wtedy, kiedy jesteśmy herosami, to znaczy, jak w polskim zwrocie, „kowalami własnego losu”. Tylko tyle i aż tyle.

Inne artykuły Zdzisława Najdera na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/ojczyzna/>

<http://www.cultureave.com/honor-i-ojczyzna/>

<http://www.cultureave.com/trwac-przy-zasadach/>

<http://www.cultureave.com/ksiaze-tulacz/>

<http://www.cultureave.com/pulkownik-jozef-beck/>

Druga edycja
Konkursu
im. Ignacego Jana
Paderewskiego
w Galerii Roi Doré
w Paryżu



Wystawa od 29 czerwca do 19 lipca 2018 r. Wernisaż wystawy 28 czerwca 2018 r. o godz. 18.00.

W związku z sukcesem I edycji Konkursu im. Ignacego Jana Paderewskiego „W służbie sztuce i ojczyźnie”, która odbyła się w

2016 r., Galeria Roi Doré oraz platforma Art-maniac zorganizowały II edycję tego wydarzenia. Zaprezentowane dzieła są inspirowane życiem i twórczością Ignacego Jana Paderewskiego (1860-1941), polskiego kompozytora i pianisty światowej sławy oraz męża stanu, premiera i ministra spraw zagranicznych w 1919 r., delegata pełnomocnego rządu polskiego na konferencji pokojowej w Paryżu, zwieńczonej podpisaniem Traktatu wersalskiego, kończącego pierwszą wojnę światową oraz wysłannika rządu polskiego do Ligi Narodów, odznaczonego m.in. Orderem Orła Białego, francuskim Krzyżem Wielkim Legii Honorowej oraz tytułem Rycerza Wielkiego Krzyża Orderu Imperium Brytyjskiego. **Konkurs jest realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości przez Polskę.**

Konkurs im. Ignacego Jana Paderewskiego „W służbie sztuce i ojczyźnie” wpisuje się w długą tradycję związków sztuk plastycznych z muzyką, ale także z historią, a nawet z zaangażowaniem politycznym w służbie ojczyźnie w potrzebie. Te popularne w historii sztuki tematy podejmowane są tu na nowo przez artystów wywodzących z różnych krajów i pokoleń, posługujących się bardzo odmiennymi technikami.

Na wystawie zaprezentowane zostaną dzieła następujących artystów, zakwalifikowanych do finału (w porządku alfabetycznym): Piotr BETLEJ, Piotr CIEŚLEWICZ, Richard

D'ALIGHIERI, Maryla GISZCZAK, Jolanta GROCHOLSKA-JANCZARA, Ronnie HABIB, Tomasz JĘDRZEJEWSKI, Agnieszka KASTELIK, Tomek KAWIAK, Jerzy KĘDZIORA, Vaiva KOVIERAITE, Michele LANDEL, Patrick LE BORGNE, Sylwia LIS PERSONA, Anna MACIEJEWSKA, Ivan MALINSKYY, Serge MARGARITA, Evelyne MICHEL, Edyta ROLA MARCINOWSKA, Paweł RUBASZEWSKI, Andrzej SOCHA, Paweł SZUMIGAŁA, Katarzyna TOMASZEWSKA, Przemysław TOMCZAK, Maciej TRYBUŚ, Marzena URYSZEK, Fabien YVON, Czesław ZUBER.

Wystawa prac Zdzisława Beksńskiego w Galerii Roi Doré w Paryżu:

<http://www.cultureave.com/wystawa-beksinski-in-hoc--signo-vinces-w-paryzu/>

Hiszpańscy akademyści i poeci: Dámaso Alonso (1898-1990)



Dámaso Alonso

Florian Śmieja

Na mojej półce stoją przerzedzane stopniowo książki hiszpańskie. Jedną z nich jest tom wierszy “Hijos de la ira” w wydaniu argentyńskiej firmy Austral. Nosi on miłą hiszpańską dedykację wykaligrafowaną atramentem:

Dla Floriana Śmieji, dzielnego Polaka pod londyńskim niebem z żywą sympatią Dámaso Alonso, Londyn 13 stycznia 1960.

Nagle pamięć podpowiada szczegóły. Pewnego dnia w niepozornym człowieku siedzącym przy pulpicie w okrągłej sali czytelnicy dawnego *British Museum* rozpoznałem znamienitego akademika i prezydenta Królewskiej Akademii Hiszpańskiej. Byłem pewnie na jego odczytanie kilka dni wcześniej w *King's College* albo w Instytucie Hiszpańskim. Podszedłem do niego z tomikiem jego głośnych już wtedy poezji i poprosiłem o autograf.

Przelał się nieco zaskoczony faktem, że go rozpoznałem. Były to czasy, kiedy gen. Franco siedział jeszcze mocno w siodle, a wyjeżdżający za granicę Hiszpanie czuli się nadal śledzeni i zachowywali dyskretną ostrożność.

Padał deszcz i było zimno. zaproponowałem mu, że go

odprowadzę do radia BBC, na co się chętnie zgodził. Zanim mi wpisał dedykację, pedantycznie poprawił dwa błędy drukarskie książki klarując przy tym właściwości gramatyki hiszpańskiej. Zauważył też, pamiętam, że niemiecki tłumacz źle przełożył tytuł „Hijos de la ira” jako „Söhne des Zorns” zamiast „Kinder”. Słowo hiszpańskie „hijos” znaczy zarówno „synowie” jak „dzieci”. Wniosek: nigdy nie zawadzi skontaktować się z autorem.

Alonso był nie tylko słynnym profesorem literatury i znakomitym jej historykiem, ale także respektowanym poetą. Na znanej fotografii grupy poetów tzw. Pokolenia 1927, w sali Ateneum w Sewilli, obok m.in. Garcia Lorki, Rafaela Albertiego i Jorge Guillena widnieje Dámaso Alonso, a współcześni zapewniali, że bardzo się Dámaso z Federikiem lubili.

Wybrałem z „Dzieci gniewu” do tłumaczenia dwa krótkie wiersze „Bezsenna” i „De profundis” oraz długi tekst, który wraz z artykułikiem o autorze wydrukowałem pod tytułem „Kobieta z bańką na oliwę” jeszcze w 1960 roku w „Tygodniku Powszechnym”, a następnego roku „De profundis” w „Więzi”.

Dámaso Alonso z racji piastowanego urzędu i zawodowej reputacji polecał dobrze zapowiadających się młodych naukowców i twórców hiszpańskich na zagraniczne pozycje pedagogiczne. Kiedy przeniosłem się z *London School of*

Economics do Nottingham, do naszej katedry hiszpańskiego przyjechał na paroletni staż jego rekomendowany lektor, Claudio Rodriguez z Zamory (1934-1999). Młody, przystojny poeta był już wtedy autorem cenionych wierszy, które kazały na niego zwrócić uwagę. Jeszcze w 1966 roku wydrukowałem przekłady dwu jego tekstów w „Więzi”, a trzy dalsze w „Literaturze na Świecie” w 1975 roku, kiedy już byłem w Kanadzie. Rodriguez korzystając z pobytu w Nottingham, a potem w Cambridge poznał gruntownie i polubił poezję Dylana Thomasa. Wróciwszy do ojczyzny cieszył się wielkim uznaniem a jego poezje przyniosły mu bodaj wszystkie nagrody i wyróżnienia, jakie w jego ojczyźnie stały do dyspozycji, łącznie z fotelem Gerarda Diego w Królewskiej Akademii.

Znalazłszy się na uniwersytecie w Kanadzie spotkałem w zakładzie poetę i prozaika Jesusa Lópeza Pacheco (1930-1997), którego republikańskie przekonania i polityczne zaangażowanie wygnały na emigrację. Jego socrealistyczna proza znalazła uznanie w Moskwie, a wiersze również były na usługach anty frankistowskiego resentymentu.

Przełożyłem kilka jego zaangażowanych wierszy bacząc, by wybrać takie utwory, które miały mało klarownego adresata. Niemało się Jesús zdumiał, gdy wybrałem wiersz anty-generalski, a przełożywszy go, wydrukowałem w Polsce. Autor nie domyślił się, że tymczasem Polacy dorobili się również swojego

niedobrego generała i że ataki jego wiersza pasowały do niego jak ulał, świadcząc bezwiednie o wielostronnej użyteczności odpowiednio zastosowanej poezji

W Londynie łatwo nawiązywaliśmy kontakty z hiszpańskimi literatami, często wykładowcami uniwersyteckimi. Przyjeżdżali oni na zaproszenie iberystów brytyjskich i dawali wykłady, czytania lub brali udział w zjazdach naukowych. Oni z kolei mówili nam o tzw *tertulias*, regularnych spotkaniach grup profesjonalistów w miastach hiszpańskich. Nas interesował głównie Madryt. Tam w kawiarni „Gijón” zbierali się literaci, zaś w „Café Lyón”, naprzeciw głównej poczty, a niedaleko Biblioteki Narodowej, profesorowie i bibliotekarze. Każdego roboczego dnia między 2 a 4 na *sjestę* spotykali się przy kawie, kieliszku wina czy koniaku na pogawędkę.

Mając takie zaproszenie w kieszeni młody uczonek przyjeżdżał do stolicy Hiszpanii, zachodził do „Café Lyón” i przedstawivszy się, był gorąco witany przez grono znakomitości, które okazywały się nie tylko wybornymi kompanami do wypitki i gawędy, ale pierwszorzędnymi znawcami przedmiotu, w moim wypadku, literatury hiszpańskiego Złotego Wieku. Potrafili w mig rozstrzygnąć wiele kwestii naukowych, informując nowo przybyłego precyzyjnie o najlepszych strategiach szukania i zdobywania potrzebnych wiadomości.

Przez wiele lat takim duchem sprawczym *tertulii* profesorów był don Antonio Moñino, były dyrektor Biblioteki Narodowej, wielki erudyta i bibliofil. Kiedy poszukiwałem rzadkiej książki szesnastowiecznego conceptysty, radził mi pojechać do Segowii. Tam kilkanaście lat wcześniej w bibliotece katedralnej na piętrze, w pewnym pokoju i drugiej szafie na takiej a takiej półce widział potrzebny mi egzemplarz książki. Były to czasy przed komputerowe, biblioteki rozporządzały niekompletnymi katalogami kartkowymi, a bibliotekarze byli kapryśni, w Hiszpanii mało zdyscyplinowani i potrzebowali bodźców. Pojechałem do Segowii i znalazłem książkę dokładnie tam, gdzie ją zapamiętał don Antonio. Kiedy indziej szukałem bez powodzenia żywota pewnego Świętego wydanego w 1613 roku. Kiedy o tym opowiedziałem gronu biesiadników, nazajutrz otrzymałem egzemplarz. Przyniósł go w kieszeni don Antonio, pozwolił zabrać do hotelu, przepisać potrzebne dane (nie było wtedy ksero) i zwrócić przy okazji.

W lecie, które w Madrycie jest uciążliwe, *tertulia* profesorów przenosi się nad morze do Santander. Daje to dodatkową okazję, by ożywić znajdujący się w tym mieście uniwersytet letni, do którego przyjeżdżają studenci z całego świata. Korzystają oni ponadto ze słynnej biblioteki założonej przez legendarnego erudyte Marcelina Menéndez y Pelayo. Po dziś dzień żyje jego mit i opowiadają, jak zwykł był on z książką w ręku zasiadać na otwartym piętrze tramwaju i jeździć nim w kółko nie

molestowany przez obsługę i współpasażerów.

W takiej atmosferze poznałem dyrektora szkoły studiów arabskich w Granadzie Emilio García Gómeza, z którego tłumaczenia średniowiecznych arabskich tekstów poetyckich z Andaluzji korzystałem, przekładając na polski kilkadziesiąt poezji arabsko-andaluzyjskich. Pisemne pozwolenie przysłał mi pocztą z Bagdadu, bo wtedy już sprawował funkcję hiszpańskiego ambasadora w Iraku.

Z jego nazwiskiem kojarzy mi się zabawna historia. Kiedy raz z poetą Józefem Łobodowskim poszliśmy w Madrycie na lampkę wina do tawerny znajdującej się w pobliżu jego miejsca zamieszkania, dyskutowaliśmy zażarcie o poezji arabsko-andaluzyjskiej. Wtedy podszedł do naszego stołu *limpiabotas* czyli pucybut, a uzyskawszy nasze przyzwolenie, zabrał się do glansowania naszych butów. Nie przerywaliśmy rozmowy i raz po raz w naszej polskiej konwersacji padało nazwisko Emilio García Gómez. Wtedy czyścibut spoglądał na nas ze szczególną uwagą, a my kontynuowaliśmy nasze wywody. Jeszcze kilka razy wymieniliśmy nazwisko Gómeza, a za każdym razem nasz czyścibut podnosił na nas wzrok. W końcu odezwał się niespodziewanie:

Czego panowie chcecie od Emilia Garcii Gómeza? Ja się

nazywam Emilio García Gómez.

Swoją drogą te podwójne hiszpańskie nazwiska są utrapieniem dla cudzoziemców, w tym również Polaków. Weźmy dla przykładu choćby często w ubiegłym wieku wymieniane nazwisko poety, który po hiszpańsku znany jest jako Federico García Lorca. A jak to nazwisko brzmi w dopełniaczu? Podobnie rzecz się ma z najpłodniejszym pisarzem hiszpańskim, którym był Lope de Vega Carpio. Nasi kuratorzy gramatyki nie spieszą się z werdyktem, jak takie nazwiska odmieniać po polsku pozostawiają nam decyzję, tak że musimy sobie radzić, jak umiemy.

Wśród bibelotów zachowałem także kilka wizytówek. Jedna jest hiszpańska z trzema różnymi nazwiskami osób, które tym niemniej stanowią jedną rodzinę. Tam już trzeba pewnych objaśnień. Po pierwsze wizytówka ma czarną obwódkę, jest więc wizytówką wdowy. Obok jej wydrukowanego imienia i nazwiska wykaligrafowano dwa dodatkowe nazwiska: syna i jego ojczyma. Kartonik stał się więc wizytówką rodzinną, którą mi wręczono podczas spotkania w Londynie.

Zanim podam nazwiska, opowiem całą historię. W sekretariacie Szkoły Nauk Słowiańskich i Wschodnioeuropejskich, gdzie byłem zatrudniony pół wieku temu, pracowała Lolita Raczyńska. Pewnego dnia posłała mi karteczkę. Miała dla mnie studenta

Hiszpana, który chciał się uczyć prywatnie języka polskiego przy pomocy hiszpańskiego. Ponieważ znałem hiszpański, a uczyłem polskiego, odpowiadałem zapotrzebowaniu. Kiedy przeczytałem nazwisko kandydata: księżę Adam Czartoryski, w pierwszym momencie pomyślałem, że padłem ofiarą żartu. Okazało się, że nie. Zjawił się dobrze ułożony szatyn wyglądający jak typowy sewillczyk zwący się po hiszpańsku Príncipe Adán Czartoryski. Zanim mogłem dawać mu lekcje, musiałem poznać rodziców: matkę i ojczyma. Wtedy dostałem wizytówkę z nazwiskami: Dolores de Borbón y Orleans, Carlos Chias Ossorio i P. Adán Czartoryski. Jego ojciec, Stanisław, już nie żył.

Były to czasy, kiedy gen. Franco miał się jeszcze dobrze, ale już przewidująco przysposabiał Juana Carlosa na przyszłego króla Hiszpanii. Pewnie, żeby uatrakcyjnić mojemu uczniowi niełatwy przedmiot, jakim był język polski, żartowałem, że jak jego kuzyn zostanie monarchą, to pewnie go wyśle do Warszawy jako ambasadora. I rzeczywiście kuzyn został królem.

Artykuł powiązany:

<http://www.cultureave.com/wscho-d-ogladany-przez-pejzaz--andaluzyjski-o-kasydach-i-gazelach-jozefa-lobodowskiego/>

Emisariuszka Elżbieta Zawacka (1909 – 2009)



Elżbieta Zawacka, fot. materiały prasowe.

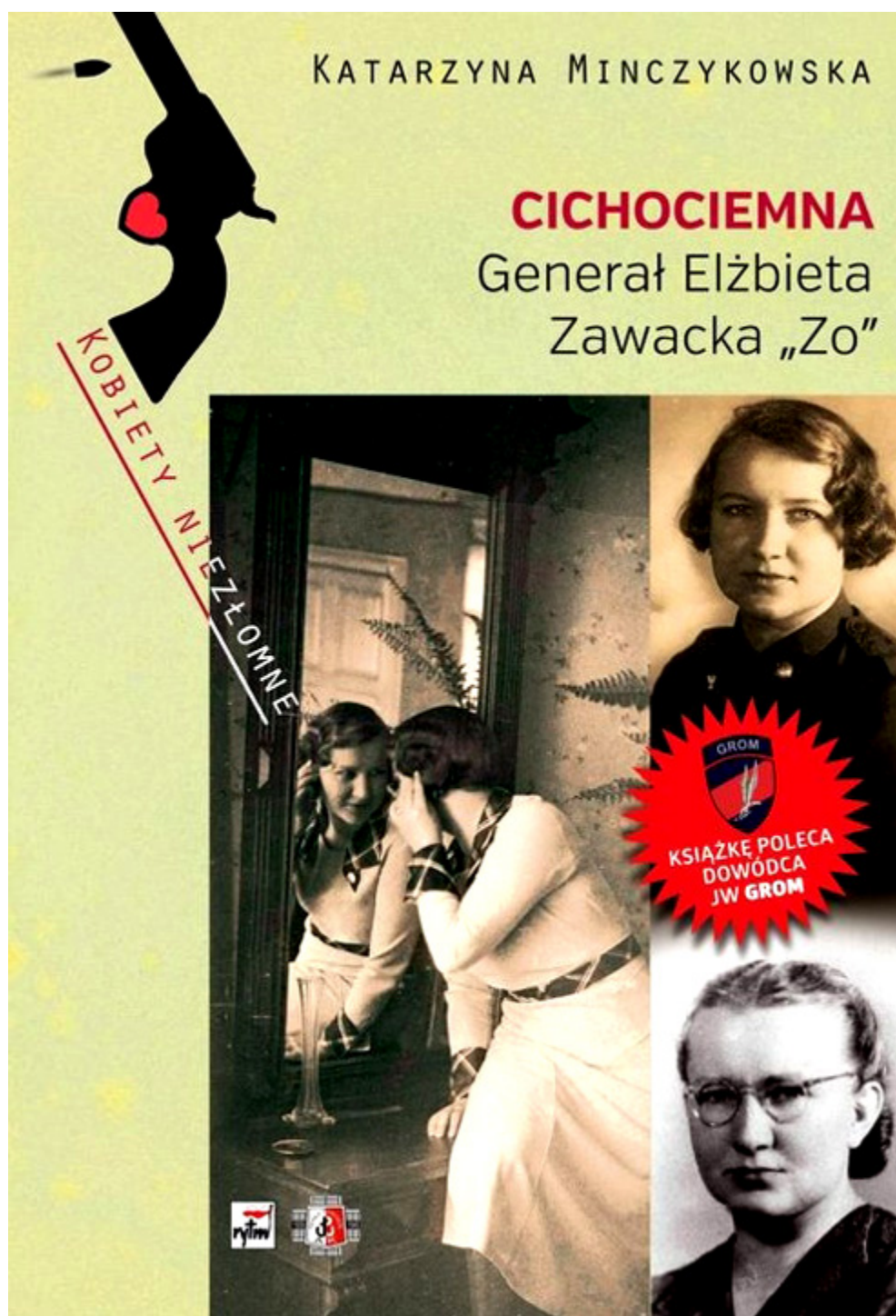
Elżbieta Zawacka to niezwykła postać. Jedyna kobieta wśród cichociemnych, druga w historii Wojska Polskiego kobieta generał, kurier i emisariuszka Armii Krajowej, uczestniczka Powstania Warszawskiego, a do tego matematyk i profesor nauk humanistycznych specjalizującą się w historii najnowszej.

Jan Nowak-Jeziorański napisał o niej w „Kurierze z Warszawy”:

Nawet w konspiracji, gdzie panuje anonimowość, „Zo” stała się postacią legendarną. (...) straciła rodzinę. Uchodziła za człowieka ostrego i wymagającego od innych, ale najbardziej od samej siebie. Jej oddanie służbie graniczyło z fanatyzmem. (...) Średniego wzrostu, blondynka o niebieskich oczach miała w sobie coś męskiego. Była surowa, poważna, trochę szorstka i bardzo rzeczowa. W czasie rozmowy ani razu nie uśmiechnęła się, nie padło ani jedno słowo natury bardziej osobistej, nic co nie wiązało się ze służbowym tematem. „Zo” nie miała na to czasu. Dopiero na pożegnanie poczułem ciepły, mocny uścisk dłoni i usłyszałem lekkie westchnienie: Daj Boże, żebyście dotarli.

W 2014 roku w wydawnictwie Rytm ukazała się książka Katarzyny Minczykowskiej „Cichociemna Generał Elżbieta Zawacka Zo„. Od tej pory autorka opowiada o tej niezwykłej postaci. 17 kwietnia 2018 r. w Polskiej

Akademii Nauk w Wiedniu miał miejsce wykład dr Katarzyny Minczykowskiej oraz wystawa poświęcona Elżbiecie Zawackiej.



Elżbieta Zawacka urodziła się 19 marca 1909 r. w Toruniu, zmarła 10 stycznia 2009 r. tamże. Przyszła na świat w czasie, gdy Toruń znajdował się pod zaborem pruskim, jednak szkołę podstawową i gimnazjum kończyła już w wolnej Polsce. Maturę zdała w Żeńskim Gimnazjum Humanistycznym, a następnie skończyła studia matematyczne na Uniwersytecie Poznańskim. Po studiach podjęła pracę jako nauczycielka w szkole średniej i udzielała się społecznie jako instruktor Przysposobienia Wojskowego Kobiet (PWK).

We wrześniu 1939 r. była żołnierzem Kobiecego Batalionu Pomocniczej Służby Wojskowej, walczącym w obronie Lwowa. Pod koniec 1940 roku przeniesiono ją do Warszawy - dostała przydział do Wydziału Łączności Zagranicznej Komendy Głównej Armii Krajowej *Zagroda*. Od połowy 1941 r. jeździła między Warszawą a Berlinem, przewożąc w obie strony pocztę, która kursowała przez Szwecję do Londynu i z powrotem. Jej zadaniem było też zorganizowanie szlaków kurierów podążających do Londynu przez Niemcy. W latach 1939-1945, korzystając z fałszywych dokumentów, przekraczała granicę Rzeszy setki razy (przy setnym, w 1942, przestała liczyć), przenosząc raporty, meldunki i informacje, zaś w przerwach między wyprawami uczyła i była uczona na tajnych kompletach. Używała pseudonimów „Zelma”, „Sulica”, „Zo”.

W lutym 1943 roku wyruszyła jako emisariuszka Komendanta

Głównego AK Stefana Roweckiego przez Niemcy, Francję, Andorę, Hiszpanię i Gibraltar do Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie. Jej misja miała dwa cele: poprawę łączności między Sztabem Naczelnego Wodza w Londynie a KG AK w Warszawie oraz przedstawienie żądań gen. Roweckiego na temat regulacji prawnych dotyczących sytuacji kobiet w Wojsku Polskim. Z Londynu powróciła 9/10 września 1943 zrzucona ze spadochronem w ramach akcji „Neon 4” na placówkę „Solnica” pomiędzy zabudowaniami majątku we wsi Osowiec a folwarkiem we wsi Chawłowo (zrzut przyjęty we wsi Wólka Brzozokalska obecnie Adamów Wieś, koło Grodziska Mazowieckiego w zabudowaniach Jana Siwca. Dowódca kpt. naw. Stanisław Król Ekipa XXIX wraz z por. Bolesławem Polończykiem „Kryształ” i ppor. Fryderykiem Serafińskim „Drabina”).



Elżbieta Zawacka, fot. z książki Katarzyny Minczykowskiej „Cichociemna. Generał Elżbieta Zawacka Zo”.

W marcu 1944, gdy Zo groziło aresztowanie, wycofano ją z działalności kurierskiej i przeniesiono do służby w dowództwie Wojskowej Służby Kobiet (WSK). Działając w WSK, brała udział w Powstaniu Warszawskim, a po kapitulacji przedostała się do Krakowa, gdzie odbudowywała zerwaną łączność ze Sztabem Naczelnego Wodza. Zdemobilizowana w lutym 1945 r. dalej pracowała w konspiracji: najpierw w Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj, następnie w Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość. Z działalności antykomunistycznej zrezygnowała w 1946 r., podejmując pracę w Państwowym Urzędzie Wychowania Fizycznego i Przynależenia Wojskowego przy Ministerstwie Obrony Narodowej, z której - ze względów politycznych -

musiała zrezygnować w 1948 r.

W latach 1948-1951 pracowała jako nauczycielka w Łodzi, Toruniu i Olsztynie. 5 września 1951 została aresztowana przez MBP (Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego) i po procesie skazana na 10 lat pozbawienia wolności. Na wolność wyszła 24 lutego 1955.

W 2005 r. powstał film dokumentalny o Elżbiecie Zawackiej pt. „Miałam szczęśliwe życie” według scenariusza i w reżyserii Marka Widarskiego.

Wróciła do pracy w szkolnictwie, ucząc w szkołach w Sierpcu i Toruniu. W 1965 r. na UMK w Toruniu obroniła doktorat (promotor: prof. Ludwik Bandura) i podjęła pracę na stanowisku adiunkta Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Gdańsku (od 1972 r. Uniwersytet Gdański). W 1973 r. w Wykowie (obecnie: Uniwersytet Pedagogiczny) uzyskała tytuł doktora habilitowanego. Nie mając szans na utworzenie własnego zakładu andragogiki w Gdańsku (o czym marzyła), w 1975 r. przyjęła propozycję UMK stworzenia nowo powstającym Instytucie Pedagogiki i Psychologii. W 1976 r. wyjechała w celach naukowych do Londynu, po powrocie spotkały ją liczne szykany i represje tak ze strony SB, jak i władz Instytutu, w którym pracowała. Przeszła dwa zawały serca oraz długą rekonwalescencję, a w 1978 r. została zmuszona do odejścia na

emeryturę. Do badań z zakresu nauk pedagogicznych nigdy nie powróciła.

Jeszcze w latach sześćdziesiątych Elżbieta Zawacka zajęła się gromadzeniem materiałów historycznych, dokumentujących działalność Armii Krajowej w czasie wojny jako emerytka powróciła do tej pracy. Działała w ruchu kombatanckim „Solidarności”, w 1986 współorganizowała w Toruniu Klub Historyczny przy toruńskim oddziale Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego (działający następnie jako Klub Historyczny im. Antoniego Antczaka). Dzięki jej zaangażowaniu grono kilku osób w Toruniu zainicjowało, w końcu 1988 r., powstanie ogólnopolskiego stowarzyszenia byłych żołnierzy Armii Krajowej (obecnie Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej). W pierwszym zarządzie głównym tej organizacji, który kładł podwaliny pod jej dalszy rozwój, pełniła funkcję wiceprezesa Zarządu Głównego. W 1990 zainicjowała utworzenie Fundacji „Archiwum Pomorskie Armii Krajowej” – była jej pierwszym prezesem, a po latach honorowym przewodniczącym Rady. Klub Historyczny im. Antoniego Antczaka był integralną częścią założonej przez Zawacką Fundacji i funkcjonował do początku XXI w.

W 1989 została laureatką Medalu Stolema – wyróżnienia przyznawanego w Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim osobom, które w szczególny sposób przyczyniły się do pomnożenia

dorobku i osiągnięć kultury i Pomorza lub do ich spopularyzowania. W 1990 została odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, a w 1993 Krzyżem Komandorskim tego orderu z gwiazdą. Od 1996 była profesorem nauk humanistycznych. W 1993 r. Rada Miasta Torunia przyznała jej tytuł Honorowego Obywatela tego miasta, w 2008 r. została Honorowym Obywatelką Piastowa.

3 maja 2006 roku na wniosek warszawskich środowisk kombatanckich Prezydent RP Lech Kaczyński awansował ją do stopnia generała brygady. Została wówczas drugą kobietą-generałem w historii Wojska Polskiego.

W 1990 roku z jej inicjatywy powstała Fundacja Archiwum i Muzeum Pomorskie AK oraz Wojskowej Służbie Polek w Toruniu, obecnie Fundacja Generał Elżbiety Zawackiej.

<http://www.zawacka.pl/>

(źródło biografii Elżbiety Zawackiej: Wikipedia)

Na podstawie książki Katarzyny Minczykowskiej powstaje film fabularny o Elżbiecie Zawackiej. Reżyserem zwiastuna filmowego jest Bartłomiej Żmuda. W rolę tytułowej bohaterki wcieliła się Katarzyna Bujakiewicz.

Zawsze staję po stronie kompozytora

Krzysztof Urbański, jeden z najwybitniejszych dyrygentów młodego pokolenia, jest Dyrektorem Muzycznym Indianapolis Symphony Orchestra oraz Pierwszym Gościnnym Dyrygentem NDR Elbphilharmonie Orchester w Hamburgu. W 2007 r. ukończył z wyróżnieniem studia w Akademii Muzycznej w Warszawie u profesora Antoniego Wita. Jest laureatem kilku prestiżowych konkursów dyrygenckich. W listopadzie 2018 r. będzie pełnił funkcję gospodarza festiwalu z polską muzyką „My polish heart”, organizowanego z okazji Stulecia Odzyskania przez Polskę Niepodległości przez NDR Elbphilharmonie Orchester.



Krzysztof Urbański, fot. Marco Borggreveall.

Jolanta Łada-Zielke:

Stara się pan interpretować utwory w oparciu o biografie twórców, biorąc pod uwagę wydarzenia towarzyszące ich powstaniu. Czy zawsze udaje się przekonać do tego orkiestrę?

Krzysztof Urbański:

Moje podejście do muzyki zależy od tego, jakim utworem dyryguję. Jeśli to arcydzieło, zależy mi na tym, żeby „odstawić” swoje *ego* na bok i nie próbować realizować siebie przez pryzmat tego utworu, tylko pokazać go najprościej, jak tylko potrafię.

Moja interpretacja jest jak najbliższa wizji kompozytora. Dlatego badam dokładnie jego życiorys. Chętnie studiuję manuskrypty, jeśli mam do nich dostęp. Chcę poznać utwór w jak najbardziej pierwotnej formie, bo przy kolejnych edycjach wydawcy wprowadzają zmiany. Tymczasem rękopis kompozytora zawiera dużo więcej informacji. Można zobaczyć, co zmieniał i poprawiał w trakcie pisania. Studiowanie manuskryptu to także przejaw szacunku wobec twórcy, bo przecież nie jest łatwo stworzyć wartościową kompozycję (wiem o tym z własnego doświadczenia). Poza tym wiele znanych i popularnych utworów obrasta w swego rodzaju tradycję wykonawczą. Często wykonuje się je w pewien określony sposób, choć w manuskrypcie lub materiałach orkiestrowych wyraźnie widać, że nie było to intencją kompozytora. Wtedy dylemat polega na tym, czy poprowadzić utwór tak, jak to robi większość, czy przełamać tradycję i spełnić życzenie kompozytora. Ja biorę najczęściej jego stronę, co prawdopodobnie nie przysparza mi przyjaciół. Proszę sobie wyobrazić orkiestrę, która wykonuje dany utwór w ten sam sposób od stu lat. I nagle przychodzi młody dyrygent, który mówi, że trzeba go zagrać zupełnie inaczej.

W jaki sposób dociera pan do manuskryptów?

Dużo materiałów źródłowych, głównie faksymiliów, znajduje się w Internecie. Ostatnio nagrywaliśmy z Orkiestrą NDR w Elbphilharmonie w Hamburgu V Symfonię Dymitria

Szostakowicza, której oryginalny zapis zaginął. Ale udało mi się dotrzeć do wydawcy (Sikorski), który przekazał mi wszystkie posiadane materiały. Mogłem więc nie tylko zapoznać się z najnowszą edycją, czyli z oficjalnie obowiązującym sposobem wykonania, ale również zobaczyć wszystkie stare wydania z czasów sowieckich, również te publikacje, które ukazały się jako pierwsze, a wśród nich autoryzowane przez samego Szostakowicza.

Czy w przypadku Szostakowicza kluczem do interpretacji są jego przeżycia z okresu stalinizmu?

Zdecydowanie tak, choć to zależy od utworu. W przypadku Szostakowicza problem ten jest jednak bardziej złożony, tworzył on bowiem również na zamówienie polityczne, w celach propagandowych, a utwory takie pozbawione są często głębi. Inna, o wiele większa część jego dorobku obejmuje dzieła, które obrazują jego wewnętrzne, najbardziej intymne przeżycia. Miał niezwykłą ciekawość świata, a jednocześnie był bardzo zamknięty w sobie. Trudno się dziwić, bo żył w niehumanitarnym świecie, gdzie za mówienie prawdy groziła śmierć. Życie w stanie ciągłego zagrożenia nie zagłuszyło w nim potrzeby twórczej, a muzyka stała się jedynym sposobem na wyrażenie uczuć, myśli, pokazanie swojej wizji świata. Fenomen wielu jego utworów polega na tym, że składają się z dwóch warstw: oficjalnej, propagandowej, nadającej utworowi wydźwięk

socrealistyczny, przemawiający do klasy pracującej, oraz tej drugiej, głębszej, osobistej. Najlepszym przykładem jest tu VII Symfonia, napisana w czasie wojny, która była przedstawiana przez władze sowieckie jako *stricte* antyfaszystowska i antyniemiecka. Ja natomiast dostrzegam w niej sporo osobistych przemyśleń odnośnie wojny w ogóle i bezradności jednostki wobec jej okrucieństwa. Fascynujące jest szukanie w muzyce Szostakowicza drugiej warstwy, z której istnienia nie wszyscy zdają sobie sprawę.

W maju 2018 wziął pan udział w Festiwalu Muzycznym w Elbphilharmonie, dyrygując koncertem, którego program obejmował „Planety” Gustawa Holsta i muzykę z filmu „Gwiezdne wojny”. Czy to celowe połączenie dwóch utworów o tematyce, upraszczając, „kosmicznej”?

Jest kilka powodów, dla których umieściłem te utwory obok siebie. Pierwszy jest bardzo osobisty. W wieku 12-13 lat usłyszałem muzykę do „Gwiezdných Wojen” i zakochałem się w niej, a dopiero później obejrzałem filmy. Po obejrzeniu zadałem sobie chyba pierwsze inteligentne pytanie w moim życiu; dlaczego na początku pojawia się napis *a long time ago in a galaxy far, far away...* (dawno temu w odległej galaktyce)? Skoro to jest film *science-fiction*, jego akcja powinna toczyć się w przyszłości, a nie w przeszłości. To skłoniło mnie do zainteresowania się astronomią, kosmologią i filozofią, które są

po muzyce moją największą pasją. Myślę, że „Gwiezdne wojny” są tak naprawdę dziełem symbolicznym. Wszystkie występujące tam postacie reprezentują klasyczne typy charakterów, nawet roboty mają własną osobowość. George Lucas stworzył niezwykły świat, w którym toczy się walka dobra ze złem, choć nie do końca wiadomo, gdzie kończy się dobro a zaczyna zło. To zupełnie jak u Nietzsche’go. „Gwiezdne wojny” miały wpływ na rozbudzenie mojej ciekawości wobec filozofii i świata. A muzykę Johna Williamsa ciągle uwielbiam.

Zestawiłem „Gwiezdne wojny” z „Planetami”, ponieważ słuchając utworu Holsta, można odnieść wrażenie, że został napisany przez kompozytora filmowego. Nadał on orkiestracji zupełnie nowy wymiar. Orkiestracja, czyli przypisanie dźwiękom barwy za pomocą określonych instrumentów, stała się w „Planetach” czynnikiem formotwórczym. To jest właśnie domena muzyki filmowej, że często zamiast formy, albo samej treści, używa się kolorów, aby zobrazować to, co dzieje się w danym momencie na ekranie. Np. część „Merkury” składa się z jednej melodii, która trwa zaledwie sześć taktów, ale jest powtarzana chyba trzydziestokrotnie i za każdym razem przez inny instrument. To coś podobnego jak „Bolero” Ravela, z tym że Bolero ma długą melodię, a „Merkury” króciutką. Ale dzięki orkiestracji, słuchając tych powtórzeń, właściwie nie odnosi się wrażenia monotonii.

Nie powiedziałbym, że „Planety” to utwór o kosmosie. Oczywiście, wszystkie części są inspirowane planetami, ale Holst kładzie nacisk na mitologię, jako trwały fundament naszej kultury i pokazuje planety w kontekście symbolicznym.



Krzysztof Urbanski, Festival de Pâques 2016 r., fot. Caroline Doutre.

Co sądzi pan na temat Wojciecha Kilara, którego w Niemczech nazywają polskim Johnem Williamsem?

Bardzo lubię muzykę Wojciecha Kilara, jest autonomiczna i trochę oderwana od trendów obecnych w sztuce drugiej połowy

XX i początku XXI wieku. W jego początkowych utworach widać polskie korzenie, a w jego muzyce jest coś czarującego, ujmującego. Powiedziałbym, że to swego rodzaju uczciwość. Nie oznacza to, że zarzucałbym jakiemuś innemu kompozytorowi nieszczerłość, ale w przypadku Kilara, wszystko co napisał, wpływało głęboko z serca. Myślę, że publiczność słuchająca tej muzyki też to odczuwa.

Jest pan szczególnie ceniony za propagowanie muzyki polskiej, ale patrząc na programy prowadzonych przez pana koncertów, rozszerzyłabym to pojęcie o muzykę słowiańską.

Bardzo lubię prezentować na świecie muzykę polską i cieszę się, że mam tę możliwość, bo bardzo wielu polskich kompozytorów pozostaje nieznanymi. Niedawno wraz z moją orkiestrą z Indianapolis byliśmy w Kennedy Center w Waszyngtonie, gdzie obok „Koncertu Wiolonczelowego” Lutosławskiego zaprezentowaliśmy „Credo” Krzysztofa Pendereckiego, które nigdy przedtem nie było tam wykonywane. W Ameryce można usłyszeć je bardzo rzadko. Uważam, że w dzisiejszym świecie sztuka, także i muzyka, jest bardziej uniwersalna, otwarta na wpływy z całego świata. Podobieństwa pomiędzy muzyką krajów słowiańskich, z Polski, Czech, Ukrainy, Słowacji i Rosji, wynikają z ich wspólnych korzeni, ale mają one też swoje indywidualne cechy. Zresztą nawet w Polsce istnieją brzmienia

charakterystyczne dla każdego regionu. Inaczej brzmi muzyka ludowa z Mazowsza, inaczej góralska, która opiera się na swojej autonomicznej skali. Jestem Polakiem i muzyka słowiańska jest mi bardzo bliska.

W swoim repertuarze ma pan „Tren ofiarom Hiroszimy” Krzysztofa Pendereckiego. Czy miał pan okazję dyrygować tym utworem w Japonii?

Dyrygowałem dwukrotnie „Trenem ofiarom Hiroszimy” w Japonii i będę tam ponownie wykonywał ten utwór w 2019 roku. Kiedy pełniłem funkcję Pierwszego Gościnnego Dyrygenta Tokyo Symphony Orchestra chciałem zadyrygować „Trenem...”, ale przez jakiś czas mi to odradzano. Sądono, że ludzie na widowni tego nie wytrzymają i zaczną płakać. Japończycy to wspaniali ludzie, ale o zupełnie innym poziomie emocjonalności, dużo bardziej wrażliwi niż my. A „Tren...” jest utworem wyjątkowo emocjonalnym. Ja sam bardzo przeżywam każde prowadzone przez siebie wykonanie. Po paru latach wspólnej pracy udało mi się przekonać orkiestrę do tego pomysłu. Wykonaliśmy go dwa razy i pamiętam, że dla wszystkich było to wielkie przeżycie. Podczas prób pojawiało się dużo niezwykłych sytuacji, kiedy wspólnie opracowywaliśmy wszystkie odgłosy, brzdęki, klastery, pukania i inne efekty dźwiękowe. Muzycy byli bardzo zaangażowani w proces szukania odpowiednich barw.

A czy był jakiś odzew ze strony melomanów obecnych na koncercie?

„Tren” to zawsze olbrzymi ładunek emocjonalny, ale reakcje publiczności są różne. Na przykład w Indianapolis otrzymałem list od weterana wojennego, oburzonego faktem, że umieściłem w programie ten utwór. A ostatnio na koncercie z San Francisco Symphony Orchestra, reakcja publiczności zupełnie mnie zaskoczyła. Na widowni znajdowała się osoba, która bardzo głośno wyrażała niepocholebne opinie na temat granego utworu. Reakcja na scenie była natychmiastowa, razem z muzykami wytworzyliśmy niesamowitą energię przeciwstawiając się tym krzykom. Publiczność w podzięcie zgotowała nam długą owację na stojąco. To było jedno z wykonań, które zapamiętam na całe życie.

Pamięta pan swój pierwszy występ z tym utworem?

Dyrygowałem nim pierwszy raz w życiu w 2007 roku, będąc jeszcze studentem. Ale w jego właściwej interpretacji pomógł mi później sam twórca, Krzysztof Penderecki. Kiedy świętował swoje osiemdziesiąte urodziny, pani Penderecka zorganizowała piękny festiwal, podczas którego przez cały tydzień były grane utwory z różnych okresów jego twórczości. Będąc wtedy w Warszawie mogłem chodzić na wszystkie koncerty i poznać bliżej jego muzykę. Na koncercie finałowym miałem okazję

dyrygować „Trenem...” i ze wszystkich sił starałem się zrobić to jak najlepiej, aby okazać szacunek i złożyć hołd wielkiemu kompozytorowi. Włożyłem bardzo dużo pracy w przygotowania. Notacja „Trenu...” znacznie odbiega od tradycyjnej, w partyturze są fragmenty z nakreśloną linią czasu i jest napisane, że dany takt ma trwać np. 25 sekund. Są też tam narysowane różne abstrakcyjne kształty i dopiero w partiach jest wytłumaczone, co mniej więcej trzeba robić, żeby wyrazić ten czy inny kształt za pomocą dźwięku, aby nabrał konkretnej akustycznej formy.

Czy często występuje pan w Polsce?

Kilka lat temu z moją orkiestrą z Trondheim podczas europejskiego *tournée* gościliśmy na Festiwalu „Chopin i jego Europa” i mieliśmy przyjemność występować w Filharmonii Warszawskiej i Krakowskiej.

Dwa lata temu miałem okazję występować w sali NOSPR-u w Katowicach i w Narodowym Forum Muzyki we Wrocławiu z NDR Elbphilharmonie Orchester podczas *tournée* w ramach Festiwalu Beethovenowskiego, na który zaprosiła nas pani Elżbieta Penderecka. Obie sale zrobiły na mnie duże wrażenie. We Wrocławiu szczególnie zachwyciło mnie brzmienie orkiestry na scenie. Być może to trochę egoistyczne spostrzeżenie, bo orkiestra musi przede wszystkim brzmieć dobrze na widowni, dla publiczności, ale w tej sali na scenie wrażenie było wyjątkowe.

Natomiast w Katowicach podczas próby przygotowawczej, kiedy graliśmy fragmenty utworu, z którym później występowaliśmy, byłem naprawdę oczarowany tamtejszą akustyką na widowni. Cieszę się, że mamy w kraju takie wspaniałe sale koncertowe. Mam marzenie, żeby kiedyś przyjechać tutaj z moją orkiestrą z Indianapolis.

Jak pan ocenia akustykę w Elphilharmonie?

W grudniu 2016 przyjechałem tam pierwszy raz, ale tylko na nagranie płyty ze „Świętem wiosny” Igora Strawieńskiego. Było to przed oficjalnym otwarciem Elbphilharmonie, więc nie miałem okazji posłuchać żadnego koncertu. Potem brałem udział w projekcie „Koncerty dla Hamburga”, którego inicjatorem był Thomas Hengelbrock, szef NDR Elbphilharmonie Orchester. W ramach cyklu orkiestra dawała codziennie dwa krótkie koncerty. Część z nich prowadziłem ja, ale większością dyrygował Hengelbrock. Mogłem więc codziennie dwukrotnie wysłuchać wykonania tych samych utworów, zarówno na koncertach jak i podczas prób, za każdym razem z innego miejsca. Dzięki temu poznałem tę akustykę dość dobrze, co bardzo mi pomogło przy własnych występach, bo już wiedziałem co zrobić, żeby orkiestra brzmiała jak najlepiej. Jest to specyficzna akustyka, ale fascynuje mnie jako słuchacza, bo jest niezwykle transparentna. Jeśli wyteży się słuch, to można usłyszeć pojedynczych członków orkiestry. Ale proszę sobie wyobrazić, jakie to wyzwanie dla

muzyków, kiedy każdy z nich jest tak wyeksponowany. Dla mnie jako dyrygenta najtrudniejsze zadanie polega na tym, żeby orkiestra nie brzmiała jak sto zupełnie różnych odcieni, lecz aby osiągnęła jedną, homogeniczną barwę. Jeśli mówimy o Elbphilharmonie, muszę jeszcze wspomnieć, że uważam ją za jedną z najpiękniejszych sal koncertowych na świecie, a sam budynek za dzieło sztuki. Cieszę się, że mogę obserwować jak Elbphilharmonie tętni życiem, dzięki muzyce i tłumom publiczności.

Fotografie pochodzą ze strony Krzysztofa Urbańskiego:

<http://krzysztofurbanski.com>

O Wojciechu Kilarze:

<http://www.cultureave.com/takie-piekne-zycie-portret--wojciecha-kilara/>

Złote wrota San Francisco



San Francisco

Joanna Sokołowska-Gwizdka

La Boca del Puerto de San Francisco - wykrzyknął na widok nowo odkrytego wodnego przejścia Jose de Ortega, pierwszy kolonizator, który wpłynął na wody zatoki San Francisco w 1769 roku. To okazało wejście do położonego w pobliżu Pacyfiku

słodkiego basenu nazwano później Złotymi Wrotami, otwierającymi wielkie drzwi do bogactwa, szczęścia, odmiany losu dla wszystkich śmiazków, którzy ulegli gorączce złota. Wprawdzie nikt nie prowadził wówczas dokładnych statystyk, ale podobno w okresie największego napływu poszukiwaczy złota, do portu San Francisco zawinęło ok. 1000 statków, a większość z nich po prostu porzucono na wodach zatoki, bo załoga wraz z pasażerami oraz kapitanem wyruszyła w głąb lądu po złoty kruszec. Od tego czasu San Francisco zaczęło się zmieniać. Małe, biedne miasteczko nad Oceanem, powoli przeobrażało się w ogromną, wielokulturową metropolię. Położone na 40 wzgórzach pomiędzy Pacyfikiem a zatoką zaczęło górować na okolicę. Na pocz. XX stulecia powstał pomysł połączenia rozrastającego się miasta ze stałym lądem po drugiej stronie zatoki. Dyskusje na ten temat trwały dość długo. Wiadomo było, że jest to teren sejsmiczny, pamiętano jeszcze wielkie trzęsienie ziemi z 1906 r. Poza tym zastanawiano się jak przeciąć gigantycznym, stalowym mostem zatokę, uważaną za jedną z najpiękniejszych na świecie. Ostatecznie, ten tak ważny projekt zlecono Polakowi, synowi słynnej aktorki Heleny Modrzejewskiej, Ralphowi Modjeskiemu. W 1931 roku został on przewodniczącym komisji inżynierskiej do realizacji tego wielkiego przedsięwzięcia. Potężny Bay Bridge fascynował od początku iście amerykańskim rozmachem oraz tempem budowy. Długość mostu wynosiła 13 km, na budowę zużyto 23 tys. ton stali, a koszt przekroczył wówczas 70 mln \$. Pierwszą, symboliczną

łopatę ziemi na wyspie Yerba Buena wykopał prezydent Franklin Roosevelt w 1933 r. a już za trzy lata oddano trasę do użytku. Zbudować arcydzieło techniki i obraz ludzkich możliwości w tak krótkim czasie, to rzeczywiście niesamowite, największe, najszybsze, po prostu amerykańskie. Uroczystość otwarcia mostu stała się więc czymś w rodzaju narodowego święta. W wieczornym festynie nad zatoką wzięło udział kilkaset tysięcy ludzi. Gigantyczne, bogato iluminowane przęsła, petardy i sztuczne ognie podkreślały rozmiary obiektu i kunszt budowniczych. Bezpośrednio po ukończeniu budowy, most został wyróżniony specjalną nagrodą przez *American Institute of Steel Construction*. Jednak nie ten most stał się najsłynniejszym wiszącym mostem świata. Monumentalny Golden Gate, zbudowany u wejścia do zatoki, łączący Fort Point w północnej części San Francisco z południową granicą okręgu Marin, powstał dopiero rok później. Budował go rówieśnik, przyjaciel, a zarazem wielki konkurent Ralpha Modjeskiego, Joseph Strauss. Polski budowniczy żartobliwie twierdził, że Strauss tworząc tak ogromne obiekty, próbuje sobie zrekompensować swój zaledwie półtora metrowy wzrost. Tak więc mimo, że Bay Bridge był przedsięwzięciem dużo większym, to rekordowa rozpiętość głównego przęsła Golden Gate, wynosząca 1281 m zrobiła na całym świecie ogromne wrażenie. Odtąd Złote Wrota stały się nie tylko symbolem bramy do spełnionych marzeń, wejściem na złoty ląd, ale równocześnie symbolem Ameryki określanym mianem *American way of life*.



Bay Bridge i widok na San Francisco.

Australijskie noce i dni Adama Fiali

Od 27 czerwca do 15 lipca 2018 r. trwać będzie w Krakowie w Galerii Domu Polonii, Rynek Główny 14, wystawa rysunku i

**malarstwa Adama Fiali, artysty mieszkającego w Australii.
Wernisaż odbędzie się w środę, 27 czerwca, o godzinie 18.00.**



ADAM FIALA

MOJE AUSTRALIJSKIE NOCE I DNI

malarstwo, rysunek

27 czerwca - 25 lipca 2018 Galeria Dom Polonii
Rynek Główny 14, Kraków

Adam Fiala



Pisarz, poeta, grafik i ilustrator, urodził się w Lublinie, w 1985 roku wraz z rodziną wyemigrował do Australii.

Z wykształcenia prawnik, debiutował utworami poetyckimi i grafiką w *Kamenie* w latach 70-tych dwudziestego wieku, a później publikował w *Akancie*, *Naszym Dzienniku* i *Metaforze*. Swoją pierwszą powieść *Jeden myśliwy, jeden tygrys* napisał w 1976 roku, odnosząc sukces i uzyskując pochlebne recenzje krytyków. Kolejne, również dobrze przyjęte powieści, powstały w latach 1977-1979 - *Sprawy rodzinne*, *Zygzakiem po prostej* oraz *Termiterium wisielców*.

W Australii Adam Fiala kontynuuje pracę literacko-artystyczną, pisze wiersze, prozę satyryczną, rozwija również swoje zainteresowania w kierunku plastyki i muzyki. Jego wszechstronne pasje poszerzają się wraz z akceptacją życia w nowej ojczyźnie, w otoczeniu dzikiej przyrody i rdzennych mieszkańców Australii. Twórca sam siebie określa „w połowie Aborygenem, a w połowie Polakiem”, co niewątpliwie odzwierciedla się we wszystkich kierunkach Jego działalności artystycznej. Prace malarskie i rysunkowe Adama Fiali nie pozbawione są satyry i ironii, oscylują pomiędzy ekspresją sztuki zachodu, a magicznym światem życia rdzennych Australijczyków.

Ulubionym gatunkiem poetyckim artysty są aforyzmy i ostatnimi czasy haiku. Od kilku lat Adam Fiala współpracuje z krakowskim wydawnictwem Miniatura, gdzie wydał już kilkadziesiąt tomików poezji, ilustrowanej swoimi rysunkami i grafiką. Są to dzieła o głębokiej refleksji filozoficzno-moralizatorskiej, z ogromną dozą humoru i dystansu twórcy do siebie i świata. Od 2008 roku ilustruje również książki zaprzyjaźnionych pisarzy i poetów. W Australii stale publikuje w *Pulsie Polonii* i *Przeglądzie Australijskim*. Jego utwory znajdujemy również na stronach internetowych amerykańskiego wydania *Culture Avenue* i w *Magazynie Twórczym Polska-Kanada*.

Fundacja Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989
oraz Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”,
Galeria Dom Polonii w Krakowie

mają zaszczyt zaprosić na

WERNISAŻ MALARSTWA I RYSUNKU

ADAMA FIALI

w oprowie poezji z gościnnym udziałem
poety i aforysty Henryka Reja
oraz Mieczysława Mączki
z wydawnictwa Miniatura w Krakowie



27 czerwca 2018 r. (środa) godz.18.00
Galeria Dom Polonii w Krakowie
ul. Rynek Główny 14

Organizatorzy wystawy:



Adam Fiala jest artystą wielokrotnie prezentowanym w magazynie Culture Avenue. Oto wywiad z artystą oraz jego wiersze, rysunki i haiku:

<http://www.cultureave.com/adam-fiala-artysta-niepokorny/>

<http://www.cultureave.com/adam-fiala-turpizm-australijski/>

<http://www.cultureave.com/adam-fiala-wiersze-i-rysunki/>

<http://www.cultureave.com/posiwiala-rzeka-haiku/>

<http://www.cultureave.com/poranek-na-bagnach-haiku/>

<http://www.cultureave.com/australijskie-swieczki-haiku/>

<http://www.cultureave.com/na-skrzydloch-kormoranow-haiku/>

Wystawa prac trójki artystów: Anny Fiali, Adama Fiali oraz ich syna Andrzeja Fiali ukaże się w środę, 4 lipca 2018 r.

